



Joanna Wieczorek-Dieng

W MELODII ŻYCIA.

Nuty polsko-afrykańskie

Czterdzieste urodziny świętowałam w Dakarze, stolicy Senegalu. Od maja 2015 r. moim nowym domem stała się Afryka Zachodnia.

Gorącej październikowej nocy poszliśmy do restauracji położonej nad oceanem atlantyckim i zamówiliśmy grillowane ryby. Zapadał zmierzch, a księżyc w pełni malował na oceanie piękną, srebrną poświatę. Portowa latarnia rozświetlała drogę rybakom wracającym z wieczornych połowów. Zamknęłam oczy, wzię-

łam długi, powolny wdech, czując nad sobą potęgę rozgwieżdżonego nieba. Przez usta wydychałam stres ostatnich paru lat intensywnej przemiany zawodowej. Z kolejnym wdechem wypełnił mnie spokój, a głośne westchnienie uwolniło ostatnie napięcie. **Poczułam, że znalazłam się w końcu w domu.** Je-

stem u Siebie. Dobiłam do brzegu. Zakończył się trwający trzy dekady czas duchowej nomadki.

ŚLIKAK NA DRODZE

Dorastałam w Warszawie, ale miejskie życie nigdy mnie szczególnie nie pociągało. Czas wolny spędzałam na rowerze w Lesie Kabackim czy spacerując po wilanowskich łąkach lub ze znajomymi. Coraz częściej uczestniczyłam w przeróżnych warsztatach rozwoju osobistego, byle dalej od mia-

Zamknęłam oczy,
wzięłam długi, powolny wdech,
przez usta wydychałam stres
ostatnich paru lat intensywnej
przemiany zawodowej.



sta i bliżej tego, co mogło zaspokoić tęsknotę, która odczuwałam w sercu od dziecka.

Dawno temu, gdy szłam do szkoły podstawowej, drogę przeciął mi ślimak bez muszli. Kucnęłam zafascynowana i zapomniałam o czasie. Ciekawość świata przyplącała uwagę w dzienniku. Postanowiłam zwrócić się ku temu, co wewnątrz. Czas wokół mnie przestał się ślimaczyć, a ja podróżowałam do wyobraźni. Jako nastolatka marzyłam o lewitacji, jako dwudziestolatka próbowałam medytacji. Z marnym skutkiem. Gdy pojawiły się różne możliwości rozwoju duchowego czy osobistego, wpadłam w nie jak śliwka w kompot. Przed trzydziestką poznałam różne formy jogi, udawałam kruka na warsztatach szamańskich, śpiewałam z aniołami Shirley Roden, odzyskiwałam części zawiruszonej gdzieś w czasoprzestrzeni duszy i dotykałam kobiecości na specjalistycznych kursach. **Poszukiwałam. Poznałam wielu wspaniałych nauczycieli oraz tych zaślepionych duchowym ego**, blaskiem dostępu do sekretnej wiedzy. Mnie też dotknęła ta choroba, gdy stałam się instruktorką jogi. Parę lat zajęło mi jej zauważenie. Uwolnienie przyszło błyskawicznie, zostawiając przetarty szlak na rozpoznawanie jej u innych i większą uważność na intencje swoich własnych działań.

– Wiem, jaki ty masz problem – powiedziała Iwona, instruktorka hatha-jogi w jednej z warszawskich szkół, bardzo dawno temu.

– Jaki? – spytałam głodna wiedzy od eksperta. Od dzieciństwa miałam problemy ze staniem na rękach przy drabince lub ścianie, jakby ściany uciekały od stóp, którymi próbowałam ich dotknąć.

– Wiem, ale ci nie powiem – odburknęła joginka z uśmiechem wszechwiedzącej i oddaliła się do kolejnej ofiary przy drabinkach. Obok niej stało ego.

Długo, bardzo długo po ślimaczku i po studiach pojawiła się praca w międzynarodowej korporacji. Kontynuowałam swoje duchowe poszukiwania i trzynaście lat przepracowałam na etacie dla banków z amerykańską, grecką i austriacką kulturą organizacyjną. To

był czas poznawania struktur i schematów, procedur i procesów oraz biznesowy język angielski. Powolna zmiana stanowisk na wyższe. Siedem lat na wysokim stanowisku menedżerskim. Lepsze wynagrodzenie, większe benefity socjalne, szersze ubezpieczenie medyczne oraz prestiżowe stanowisko „Dyrektor ds...”. Była duma, radość, ciekawa i inspirująca praca, poczucie sensu i przekonanie, że swoim działaniem pomagam czynić świat lepszym. Wierzyłam, że idealnie łączę dwa światy, duchowy i materialny, ale przez cały czas szukałam sposobu na uspokojenie nienazwanej tęsknoty.

Dotknięcie niewidzialnego zainspirowało mnie do konkretnych działań.

JELITA DROGĄ DO DUSZY

Znane polskie powiedzenie „przez żołądek do serca” w moim przypadku brzmiało „przez jelita do duszy”. Tygodniowy wyjazd oczyszczający ciało, czyli detoks z lewatywami i medytacjami, był punktem startowym do głębszych duchowych przemian. Każdego dnia piłyśmy ziółka i różne mikstury oraz uczestniczyłyśmy w grupowych zajęciach intonowania mantr. Dźwięk wyzwał w każdej z kobiet niezwykle stany. U jednej wzbudzał śmiech, u innej smutek i łzy. Tamto dotknięcie niewidzialnego zainspirowało mnie do konkretnych działań. Umówiłam się na wizytę do bioenergoterapeuty Jerzego Strączyńskiego. Leżałam na plecach w jego gabinecie, a on gładził powietrze zapaloną świecą kilkanaście centymetrów nad moim brzuchem. Czulałam, jakby mi go fizycznie masował. Kolejny raz byłam pod ogromnym wrażeniem! Ruszyła lawina poszukiwań w rozpoznawaniu swojej prawdziwej natury. Ukończyłam czteromiesięczny Kurs Coachingu Ericksonowskiego na Uniwersytecie Gdańskim, roczne studia Psychologii Zorientowanej na Proces

i nauczycielski kurs Jogi Kundalini według Jogi Bhajana. Duchowość stała się moją pasją, którą rozwijałam w weekendy i w czasie urlopów. Jeździłam na kolejne szkolenia i coraz bardziej wnikałam w środowisko ludzi zawodowo zajmujących się tym obszarem.

Po otrzymaniu certyfikatu z jogi wraz z dwiema innymi znajomymi z korporacji podjęłyśmy pierwsze próby prowadzenia zajęć jogi. Wynajęłyśmy salę w centrum Warszawy. Przez pierwszy miesiąc nikt nie przychodził i czynsz pokrywałyśmy z naszych pensji. Był taki wieczór, kiedy czekałyśmy w sali, nasłuchując, czy ktoś nadchodzi. Na dźwięk stukotu obcasów na ulicy rzuciłyśmy się do okna zobaczyć, czy to ktoś do nas – okazało się, że nie. Kiedy usiadłyśmy z powrotem na podłodze, powiedziałam: „Dobrze, że pracujemy w korporacji, bo mamy za co wynajmować pustą salę”. Wybuchłyśmy śmiechem. Po roku sala była wypełniona praktykantami po brzegi.

WŁOSY. KOBIECA KORONA PRZEMIANY

Po paru latach pracy w firmie przestałam ścinać włosy, pozwalając rosnąć im naturalnie. Nigdy też nie miałam grzywki. Odślonięte czoło absorbowало nowe wizje na życie, a im dłuższe stawały się moje włosy, tym więcej zyskiwałam Samsonowej siły i Salomonowej mądrości. Przed trzydziestką dobra pensja w korporacji umożliwiła mi egzotyczne podróże. W ten sposób zwiedziłam wiele krajów, w tym Kambodżę, Wietnam, Indonezję, Erytreę, Jemen, Egipt, USA, Maroko, Indie, Gwatemalę i Belize. Zaczynałam poznawać ciekawych ludzi i przyciągać do siebie niezwykle historie. Życie stawało się coraz bardziej interesujące. Pojechałam do Mother Meera, Boskiej Matki, która przyjmowała na uzdrawiające grupowe seanse w górskiej miejscowości zamku w Schaumburgu. **Kilka dni po spotkaniu zobaczyłam w pokoju kulę biało-żółtą.** Innym razem, podczas pobytu na małej wyspie w Grecji, spotkałam Hindusa, który zademonstrował sposób uzdrawiania przy pomocy patyków. Nauczył się go ponoć w klasztorze w Tybecie.

W Indiach doświadczyłam zabiegu oczyszczającego polegającego na picciu

mleka z wodą i brania specjalnych ziół na wymioty. Niezwykła tortura, która spowodowała u mnie apatię i cofnęła mnie do życia płodowego. Łącznie wlałam w siebie około 6 litrów płynów ciurkiem. Wkrótce po tym zabiegu przestałam lubić mleko, choć ciało się ustabilizowało i odzyskało harmonię.

W Niemczech wpadłam w objęcia Ammy pachnącej jaśminem, by potem stamtąd uciec. Coś dziwnego wisiało tam w powietrzu. W Malezji zamieszkałam w chatce w dżungli, rozmawiając z duchem lasu taoistycznymi mantrami z mnóstwem bzyczenia, wzorem Chińczyka, u którego gościłam. W Malezji na medytacji Vipassana uwolniłam anioła ze smyczy i powiedziałam „człowieku, zbaw się sam”. W Indonezji poznałam lokalnego uzdrowiciela, który leczył chorą nogę znajomego imbiru i szeptem. Wtedy nawet nie przypuszczałam, że rok później ja sama zostanę żoną afrykańskiego szamana...

O CZYM MARZYSZ, TO PRZYCIĄGASZ

Zapowiadany koniec świata w 2012 r. według kalendarza Majów był końcem starego i początkiem nowego. To, o czym od lat marzyłam, w końcu przywołałam do siebie. Pasja i hobby szybko przeraździły się w wizję nowego zawodowego życia. Im głębiej zagłębiałam się za kurtynę tego, co niewidzialne, tym szybciej wyparowywało moje poczucie sensu i spełnienia z pracy w korpora-

Zrozumiałam, że dla mnie ważne są wolność i poczucie sensu.

cji. W końcu tęsknota w sercu wyciągnęła się na długość półwyspu helskiego. Dalej już było tylko morze, a ja nie chciałam tonąć. Przeszłam samodzielną drogę od korporacyjnego pucybuta najniższych szczebli do bycia dość wysoko. Z góry jednak zobaczyłam to, czego z dołu nie widać. Zrozumiałam, jak funkcjonuje korporacja i przyszła do mnie... muzyka. Serce coraz mocniej nuciło słuchany w nastoletnich czasach refren utworu *Jest inny świat, tak, wiem, gdzieś tu Antoniny Krzysztoń*. Szłam za wewnętrznym nakazem, słyszalnym już głosem serca.

Decyzję o „zmianie życia” podjęłam, mając 37 lat. To był proces ewolucji, do którego zbierałam się od dłuższego czasu. Odbylam kolejną podróż do swojego sumienia, głównych wartości i stanu oszczędności. Usiadłam w swoim biurze w zimnym budynku ze szkła, stali i betonu i weszłam w swoje pragnienia i marzenia. Ten moment zatrzymania dał mi zrozumienie tego, że nie chcę kolejnych 30–40 lat spędzać w klimatyzowanym pomieszczeniu, sztucznym oświetleniu i z dala od przy-

rody, którą uwielbiam. Zrozumiałam, że dla mnie ważne są wolność i poczucie sensu. Złożyłam wypowiedzenie z pracy w czasach kryzysu ekonomicznego. Miałam w głowie plan własnego biznesu, który wymagał mojego działania w mieście. Moja dalsza decyzja komplikowała jednak misternie ułożony plan. Serce nie służy...

WIOSNA, WIOSNA, WIOSNA, ACH, TO TY

Wiosną 2013 r. odeszłam z pracy i świeżo zakochana wyprowadziłam się na wieś do pewnego pana. Zaczął się nieoczekiwany proces detoksu, czyli kolejnego mentalno-emocjonalnego oczyszczania życia. Czas już się nie ślimaczył, ale galopował. Poznawałam głębiej siebie, odkrywałam kolejne talenty i dary, eksperymentowałam ze sztuką, uczyłam się celebrować życie: oglądać zachody słońca, cieszyć się wypitą spokojnie filiżanką herbaty. Teoretycznie miałam swobodę i wolność, ale cały czas towarzyszyło mi wewnętrzne postzawodowe napięcie: „zaraz, natychmiast powinnam już coś ustalić, stworzyć, zorganizować”. To „powinnam” towarzyszyło mi przez pewien czas. Siłą rozpędu wyznaczałam sobie kolejne terminy i cele. **Dopiero po paru miesiącach pozwoliłam sobie na proste Bycie, słodkie nicnierobienie, zaczęłam być tu i teraz**, wzięłam głęboki oddech życia. Mogłam sobie na to pozwolić, bowiem miałam oszczędności. Spacerowałam, smakowałam i wachałam lato i wiosnę, wolna od wyrzutów sumienia. Ogrzewałam się przy kominku jesienią i zimą. Tak minął rok. Potem nastąpiła osobista zmiana. Bolało. Pożegnałam iluzję miłości i ponownie stanęłam na rozstaju dróg przed ważną decyzją – co dalej? System nerwowy był na krawędzi, a ja tonęłam w krainie Nie Wiem Landii. Nie tak sobie wyobrażałam swoje postkorporacyjne życie, ale wiedziałam, że nie chcę wracać do przeszłości i pracy w metalowo-szklanych zimnych ścianach nowoczesnych biur. Przypomniały mi się moje dawne podróże w tropiki. Dały mi ogromny dar: zrozumienie świata, widzenie jego piękna i przekonanie, że zawsze i wszędzie sobie poradzę lub dostanę pomoc od życzliwych i serdecznych ludzi, których życie sta-



wiało na mojej drodze. Kupiłam bilet w jedną stronę do Azji. Miałam zamiar osiąść na wyspie Bali. Życie jednak pisze najlepsze scenariusze. Dziś żyję w Senegalu, odnalazłam w sobie to, czego szukałam, i mam męża szamana. Przypadkowe puzzle ułożyły się w zrozumiałą całość, gdy okazało się, że na nową drogę życia przyda mi się język francuski. Dawno temu wyuczony w liceum, nigdy nie był nieużywany.

GDY PUZZLE TWORZĄ PEŁEN OBRAZ

W październiku 2017 r. weszłam w 43 rok życia. Moja najważniejsza podróż trwała ponad trzydzieści lat i dopiero niedawno się dopełniła. Wędrowałam w niej przez światy niewidzialne, istniejące w moim sercu i umyśle, oraz te dostrzegane zmysłami, odległe egzotyczne kraje Azji, Ameryki, Afryki i półwyspu arabskiego. Ta podróż zaprowadziła mnie do miejsca, w którym odnalazłam Siebie i moje serce zna już smak spokoju. Dzisiaj czuję się pełna i nasycona. Przestałam główkować i analizować. Piszę ze Źródła, tej oazy w sobie, pełnej zadowolenia i spełnienia. Mieszkam i w Polsce, i w Afryce, do której mnie paradoksalnie nigdy nie ciągnęło. Magia życia? To nie jedyne zaskoczenie. **Afryka rozbudziła we mnie również słowiańskie korzenie.** Jestem Słowianką, kobietą od Słowa i Wianka. Uwielbiam Słowa i znam ich moc. Wianek to szacunek dla i jedność z przyrodą. „Bądź sobą” dawniej było dla mnie pustym frazesem wielu duchowych naganiaczy. Dzisiaj już wiem, co to znaczy, jak się to czuje. Co to znaczy, żyć prawdziwie i w prawdzie. Robić wszystko w zgodzie ze Sobą. A gdy się pomylę? To koryguję, co trzeba i dbam o równowagę w relacjach ze sobą, innymi, Ziemią, materią i duchem.

Dla niektórych jestem również białą Senegalką, żoną lokalnego uzdrowiciela. Dla wielu to tylko niezrozumiałe słowo pełne magiczno-mistycznej zawartości. Lubię wypełniać je wiarygodną treścią, klarować, odczarowywać i rozwiewać wszelkie wątpliwości i mam na to czas. Przez prawie trzy lata afrykańskiego życia zebrałam też dużo ciekawych opowieści, którymi podzielę się w kolejnych tekstach.



Zdjęcie z archiwum J.P. Wieczorek-Dieng

Bali

Moja najważniejsza podróż
zaprowadziła mnie
do miejsca, w którym
odnalazłam Siebie i moje
serce zna już smak spokoju.

ZEGAR TWOJEGO ŻYCIA

– Gdyby obecny czas twojego życia dało się wskazać na 24-godzinnym zegarze, na której godzinie jesteś teraz? – zapytała mnie Katalina, przyjaciółka z Afryki. – Na godzinie 15 – szybko odpowiedziałam i uświadomiłam sobie, jak wiele jeszcze przede mną życia na jego właściwe wykorzystanie. Jestem na półmetku i głębokim wydechem niosę dalej swą osobistą opowieść intymnej przemiany. Niech inspiruje innych.

Pewnego dnia, spacerując ulicami Dakaru, zaczęłam nucić: „...moje miasto, a w nim...” Czesława Niemena. Zdziwiłam się ogromnie, bo Dakar na pierwszy rzut oka odbiega od mojej wizji miejsca do życia. A jednak ma w sobie drugi nurt – ogromny potencjał twórczy, który również mi się udzielił. Afryka stała się puentą w całej mojej drodze poszukiwań duchowych. Tu poczułam mocny grunt pod stopami i uziemiłam się. Przestałam fantazjować i lunatykować, na jawie mnożyć kolejne pomysły, których nie realizowałam. Senegal intensywnością

tutejszego życia, siłą żywiołów, mocno nasyconymi barwami dał mi zastrzyk energii i impuls do działania. Dotarłam do Źródła na kontynencie uważanym za kolebkę ludzkości. Tu narodziłam się Słowianką i przyszła do mnie kolejna melodia: „iść, ciągle iść w stronę słońca...”, jak śpiewał kiedyś zespół 2 plus 1.

O własnej przemianie, o podróżach przez światy widzialne i niewidzialne, napisałam książkę *Wszystkie Barwy Słońca – historia prawdziwa własnoręcznie uszyta* (wyd. Edipresse). Idę teraz przez życie, nie znając ostatecznego celu, ale czując właściwy kierunek. Robię dokładnie to, co czuję, że jest moje, oraz poznaję sferę afrykańskiej duchowości i religijności. Ten dar postaram się wykorzystać w pełni i przekazać w przyszłości najlepiej, jak potrafię.

Joanna Wieczorek-Dieng

Joanna pracuje przez internet, prowadząc **e-Sesje** dla osób gotowych, by ruszyć do przodu ze swoim życiem, mentalnie lub geograficznie. Zaprasza również na prywatne i firmowe **podróże do Senegalu** oraz **specjalne pobyty dla kobiet** (patrz „Czwarty Wymiar” 12/2017).

KONTAKT:

www.joannawieczorek.com
wszystkiebarwyslonca@gmail.com
lub telefon + 48 601 813 392

FI-004/2018